

# Wszystkie zmartwychwstania

Po raz pierwszy ziemia zapada się pod budynkiem kuźni Preusa i kupca Reimanna. Powstaje krater tak duży, że zmieściłaby się w nim furmanka. Także w szeregu domów – od piekarza Flabego do fryzjera Friebego – utworzyła się rysa na murach spowodowana zapadnięciem się sztolni.

Pewnego dnia konie ciągnące pług po polu pana Franzkiego zapadają się w ziemi po piersi i wydają z siebie tak przerażający kwik, że ci, którzy są akurat w pobliżu, rzucają swoją robotę i wybiegają na pole z pobladłymi twarzami. Tylko niektórzy mają odwagę ruszyć z pomocą i ratować zwierzęta, inni patrzą z daleka na wystające z ziemi końskie łby i niezwykle, lejowate zapadlisko wokół nich.

\*

Zabobonni mówili, że to wszystko przez to, że w Kupferbergu przed laty brat zabił brata. Przelanie braterskiej krwi miało ściągnąć na miasteczko klątwę. Przypominały o tym dwa kamienne krzyże postawione śląskim zwyczajem przez samego zbrodniarza tuż obok drogi biegnącej do Johannesdorfu. „Memento” na jednym z nich nie pozwalało zapomnieć. Wystawało

zza traw za każdym razem, gdy ktoś spojrział w tamtą stronę. Ludzie nauczyli się więc nie patrzeć. „Memento”, „pamiętaj” – jakby wszystkie nieszczęścia, które przez całe stulecia spadały na zielony Kupferberg, były zaledwie przygrywką do tego, co miało się tu jeszcze wydarzyć. „Memento” – jak ostrzeżenie, że za niektóre błędy przyjdzie płacić przez całe stulecia. A rachunki nigdy nie zostaną wyrównane.

Historia nigdy na dobre tu nie zawitała, raczej wałęsała się po okolicy. Z perspektywy ludzi mieszkających w tych kilku domkach ustawionych buńczucznie na szczycie góry wyglądała jak bestia, która umie tylko siać chaos i zniszczenie i której nigdy nie jest tu po drodze.

To byli odważni ludzie. Ktoś lękliwy nie mógłby założyć miasta w takim miejscu. Nikt taki nie rzuciłby też zuchwałego wyzwania naturze i nie zacząłby drażnić krecich korytarzy w kamiennym zboczu, szukając w ciemnościach cennych kruszców. Pierwszym z tych najodważniejszych miał być Laurentius Angelus – półlegendarny śląski mistrz górniczy, przybysz z dalekiej Walonii. W dwunastym wieku odkrył tu podobno drogocenne złoża. Niewiele więcej o nim wiadomo, być może jest tylko zlepkiem wyobrażeń i historii, które krążyły tu wśród gwarków w zimowe wieczory. Takich opowieści rozpalających wyobraźnię było zresztą więcej, jak choćby ta o Srebrnym Kuszniku siejącym postrach wśród niemieckich osadników, którzy źle odnosili się do Polaków.

To, co pewne, jest w kronikach. Na początku czternastego wieku właścicielem góry i przyległych ziem jest Albert der Baier de Cuprifodina in montanis, czyli Albert Bavarus. Być może to on sprawia, że okolica już wkrótce słynie z wydobycia srebra. W 1370 roku osada nazywająca się wówczas Cuprifodina zostaje sprzedana przez jednego z potomków Alberta – Heinricha Bavarusa – rycerzowi na dworze księząt świdnicko-jaworskich Clericusowi Bolczemu. To właśnie on w pobliskich lasach wzniesie

tu zamek, przez Polaków nazywany później Bolczowem, przez Niemców zaś Bolzenstein.

Następnie posiadłości i sama osada przechodzą z rąk do rąk. Panami są tu kolejno: po 1375 roku Puta z Častolovic (von Tschastolowitz) i Hannos Wiltberg, od 1397 roku bracia von Ylenburg, od 1398 roku bracia Konrad i Reinhard von Boralowicz (Borawecz, Borrwitz). W 1433 roku kroniki odnotowują Hermana von Czettritz, a w 1434 roku braci von Liebenthal. Podczas wojen husyckich następuje upadek górnictwa, które podźwignie się dopiero w szesnastym wieku.

W 1512 roku włości te kupuje Dippold von Burghaus. To pierwszy prawdziwy fachowiec górniczy w okolicy, w nie tak znów odległym Reichensteinie rozwinął górnictwo i hutnictwo złota na tyle, że zęby na ten łakomy kąsek ostrzyły sobie najzamożniejsze spółki górniczo-hutnicze Europy. W szczytowym okresie działa tam aż 145 kopalni, Dippold zaczyna jednak rozglądać się za nowym wyzwaniem, sprzedaje więc nadane mu przez księcia prawa do wydobycia rodom Fuggerów i Turzonów. Wkrótce odkrywa Kupferberg i wie, że tu powtórzy swój sukces. Z pobieżnych tylko oględzin wnioskuje, że wewnątrz góry kryje w sobie przede wszystkim miedź, w postaci czystej rudy i rudy smolistej, ale też srebro i blendę cynkową. Aby do tych wszystkich bogactw Dippold mógł się dostać, musi być jednak spełniony jeden warunek – status Wolnego Miasta Górniczego dla osady. Dippold zabiega o to przez trzy lata u młodziutkiego czeskiego króla Ludwika Jagiellończyka. W końcu w 1519 roku udaje mu się zdobyć przywilej, na mocy którego właściciel Kupferbergu ma nie tylko pełne prawa do prowadzenia wszelkich robót górniczych na terenie swoich dóbr, lecz także uzyskuje zwolnienie z olbory – specjalnej dziesięciny płaconej za produkcję miedzi, ołowiu, żelaza i cyny. Ta szczodrość albo krótkowzroczność Ludwika stanie się przyczyną licznych zatargów między kolejnymi właścicielami Kupferbergu a kamerą królewską.

Dippold może więc rozwinąć skrzydła: w ciągu ponad dwudziestu lat na zboczach góry stawia blisko sto sześćdziesiąt szymbów i sztolni. Wydobyty w nich kruszec od razu przetapiany jest w miejscowych hutach. Zarobione w ten sposób pieniądze Dippold inwestuje, odbudowuje między innymi zniszczony w czasie wojen husyckich pobliski zamek Bolzenstein.

Jednak gwałtowny rozwój wydobywania i bogacenie się Dippolda budzą opór gwarków i mieszczan. Wiedzą oni, że w sukcesie swojego mocodawcy mogą mieć większy udział, i zaczynają się go otwarcie domagać. Dippold zaś wie, o co toczy się gra, i idzie im na rękę. Lepiej zarobić trochę mniej, niż mieć na głowie bunt górników i obrażonych kupców – to mogłoby go zupełnie wysadzić z siodła. Zwleka jeszcze kilka lat, a gdy widzi, że uporem nic nie wskóra, przekazuje im jedną z hut i część udziałów górniczych. Przeklinać go będą za to ustępstwo wszyscy kolejni właściciele Kupferbergu.

Jednym z nich zostaje Ludwik Decjusz – sekretarz Zygmunta Starego, Alzatzczyk z pochodzenia, postać niezwykle wpływowa i szanowana w Krakowie. Jest erudytą, dyplomata, wybitnym humanistą, ale też finansistą. Dzięki znajomości z wszechwładnym w Krakowie Jakubem Bonerem, twórcą i zarządcą żup solnych Wieliczki i Bochni, Decjusz zwraca uwagę na możliwości zwielokrotnienia majątku, które niesie ze sobą wydobywanie kruszców. Marzy mu się też zapewne start na własny rachunek; rozglądając się za dogodną inwestycją i korzystając ze znajomości z wydobywczymi rodami Fluggerów i Turzonów, zauważa Kupferberg. Dippold chce się tych dóbr pozbyć, sprawa wygląda nad wyraz obiecująco.

Do transakcji dochodzi w 1538 roku. Decjusz liczy, że konflikty z mieszczanami i gwarkami, na które uskarżają się kolejni właściciele Kupferbergu, uda mu się załagodzić, a wysiłek ten zrekompensuje sobie eksploatacją nienaruszonych jeszcze przez Dippolda złóż. Nie jest przecież amatorem i nie kupuje

kota w worku. Wysłani w teren rzeczoznawcy przynieśli mu same dobre wieści. Nie wie, że właśnie daje się złapać w pułapkę tego, co w przyszłości wiele razy stanie się powodem rozlicznych dramatów Kupferbergu. Tutejsze złoża charakteryzują się bowiem tym, że w swych przypowierzchniowych warstwach wykazują zaskakujące wręcz ilości miedzi, a nawet srebra. Ich badaniu towarzyszy więc zawsze podniecenie równe gorączce złota. Analizy próbek dają jednak zbyt optymistyczne wyniki i są fałszywą zapowiedzią wielkich bogactw kryjących się wewnątrz ziemi.

I rzeczywiście, szacunki Decjusza okazują się przesadzone – wydobywanie nie przynosi spodziewanych zysków, a gwarkowie co rusz domagają się większych udziałów. Po zaledwie pięciu latach Decjusz sprzedaje Kupferberg wraz z kopalniami i szuka szczęścia po drugiej stronie gór, w Cukmantl (dzisiaj Zlaté Hory). Chyba go nie znajduje, bo w 1545 roku umiera jako człowiek majątny, ale nie do końca spełniony.

Teraz Kupferberg trafia w ręce braci Hellmannów. Ci jednak stawiają na eksploatację licznych hałd, którymi przez ponad dwa wieki wydobywania zdążyło obrosnąć miasteczko. Wprawiają w zdumienie, a pewnie także i oburzenie gwarków, którym zamiast wchodzić do sztolni, każą zwozić urobek z hałd do dolinki pobliskiego potoku. Dzięki zaawansowanej jak na tamte czasy technologii hydrometalurgii Hellmannowie rozkręcają w Kupferbergu produkcję wotriolu miedzi, którego w całej Europie używa się w farbiarstwie i przy wyprawianiu skór. W 1553 roku Hellmannowie stają się liderami w produkcji tego środka w państwie Habsburgów.

Na działalność nowych właścicieli miasteczka niechętnie patrzą mieszkańcy. Oni wszystkie swoje przywileje i wynikające z nich niemałe profity czerpią z działalności górniczej. Jeden z nich, Walentin Krün, stawia sobie przy „dolnej uliczce”, pod numerem dwudziestym piątym, dom, który pięknym kunsztownego

portalu oraz pełnym przepychu wnętrzem będzie onieśmiał mieszkańców i zachwycał gości jeszcze przez ponad pięć stuleci. Ludzie opowiadają sobie, że tajemne przejście podziemne prowadzi z tego domu do klasztoru żebraczego stojącego w dolnej części miasteczka, a dalej aż do zamku Bolczów. Krün z niepokojem patrzy na powolne umieranie kolejnych kopalni, znikanie gwarków, a wraz z nimi także i surowca, którym obrót przynosi jemu i podobnym mu fortuny. Hellmannowie ze sprzedażą swojego witrliolu radzą sobie zdumiewająco dobrze sami.

W 1579 roku objęcie aresztem mienia nielicznych tutejszych gwarków, niemogących się rozliczyć przed królem z odpowiedniej ilości wydobytego kruszcu, po raz pierwszy kładzie kres górnictwu w Kupferbergu. Zamknięte zostają ostatnie kopalnie, a ci, którzy jeszcze liczyli na odwrócenie się losu, zaczynają rozumieć, że przed nimi chude lata. I że czas poszukać sobie innego zajęcia.

Nie wiedzą, że najgorsze dopiero nastąpi. Z początkiem nowego stulecia do Kupferbergu zaczynają docierać pierwsze groźne pomruki bestii. Czy ludziom, coraz trudniej wiążącym koniec z końcem, przypomina się klątwa? Zapewne z trwogą spoglądają w stronę kamiennych krzyży. „Memento” – pamiętaj, być może najgorsze jeszcze przed tobą.

Od 1618 roku przez Europę zaczynają przetaczać się zbrojne hordy uwikłane w coś, co historycy nazwą później wojną trzydziestoletnią. Bestia szaleje przez trzydzieści lat pełnych trwogi, rozpacz i smutku. Najpierw jest zaraza, która zbiera w całej okolicy śmiertelne żniwo. Kupferberg oplakuje śmierć prawie połowy mieszkańców. Ludzie jeszcze na dobre nie zdążą o tym zapomnieć, gdy w nocy z 18 na 19 lipca 1634 roku wyjdą przed domy obudzeni biciem dzwonów i z trwogą popatrzą ze szczytu swojej góry na zachód. Tam na tle rozgwieżdżonego nieba jaśnieć będzie luna płonącego Hirschbergu. To znów bestia upomina się o swoje. Od bomb zapalających stają w ogniu

wszystkie kościelne wieże, od gorąca topią się dzwony. W ciągu kilku godzin z miasta zostaje tylko pogorzelsko. Płonie 341 domów, a w nich ludzie. Ich krzyków nie słychać w Kupferbergu, jednak jego mieszkańcy z przerażeniem wypatrują już wroga. Teraz są nim Chorwaci, walczący po stronie Habsburgów. To oni oblegają Hirschberg. Gdy w końcu pojawiają się w Kupferbergu, miasteczko znika po raz pierwszy. Ci, którym udaje się przeżyć pogrom, chowają się w gęstych lasach. Najpierw dziesiątkują ich tam głód i choroby, wkrótce swoje robi także wyjątkowo mroźna zima. Gdy Chorwaci odejdą, na zgłiszczach Kupferbergu pojawią się nieliczni mieszkańcy gotowi go odbudować.

W maju 1641 roku dowódcą szwedzkich wojsk walczących przeciw Habsburgom po stronie Unii Protestanckiej zostaje feldmarszałek Lennart Torstensen. Rozkazuje on generałowi Koenigsmarckowi zdobyć, odbudowany z takim wysiłkiem ponad sto lat temu przez Dippolda, zamek Bolzenstein. Ci, którym udało się przetrwać najazd Chorwatów, znów muszą uciekać, tym razem przed Szwedami. Zaczyna się oblężenie, w czasie którego szwedzkie wojska stacjonują na zgłiszczach niemal wszystkich pobliskich wiosek – Johannesdorfu, Rohrlachu, Waltersdorfu. A Kupferberg nie znika po raz drugi tylko dlatego, że po najeździe Chorwatów nie zdążono go jeszcze na dobre odbudować.

Tragedię czasów, w których przyszło im żyć, ludzie próbują tłumaczyć w legendach opowiadanych przy świetle rozpalanych ukradkiem ognisk. Mówią o bohaterskim księdzu z Bolczowa, który widząc, że sprawa jest beznadziejna, wymknął się z rąk protestanckich oprawców, skacząc z zamkowego okna w przepaść. Jego duch jeszcze przez wiele lat miał pojawiać się w zaułkach zamku, jęczeć, nawoływać i przeganiać tych, co odważyli się burzyć jego spokój. Niektórzy mówią też o żalobnym kondukcie błąkającym się w bezchmurne noce między Kupferbergiem a Johannesdorfem. Kondukcie o tyle osobliwym, że żaden

z jego uczestników nie ma głowy. Zwykle rozplywa się on przed świtem we mgle.

Szwedzi w końcu zdobywają zamek i okupują go przez cztery lata. W tym czasie odpierają kilka prób odbicia twierdzy przez cesarskich, w końcu sytuacja na frontach zmienia się na tyle, że zajmowanie fortecy nie ma większego sensu, wycofują się więc z niej. Zgodnie jednak z panującym wówczas wojennym zwyczajem pozostawiają po sobie dymiące ruiny.

Wojna obraca w pył nie tylko całe miasto, lecz także coś o wiele cenniejszego, czym mieszkańcy Kupferbergu mogli się cieszyć przez całe dziesięciolecie: komisja redukcyjna odbiera ewangelickim mieszkańcom ich świątynię oraz zakazuje posługi kapłańskiej. Przez następnych kilkanaście lat najsilniejszego ucisku ewangelików na Śląsku przez Austriaków protestanci z Kupferbergu, by posłuchać kazań swoich kaznodziejów, znów będą musieli ukrywać się w lasach otaczających pobliskie góry i ruiny spalonego zamku. Świątynię odzyskają dopiero wraz z przejęciem tych terenów przez Prusy w 1742 roku. Pastor Fibiger z pobliskiego Rudelstadtu tak pisze w swoich wspomnieniach o tym okresie: „O Boże! W jakich czasach Ty nam żyć kazałeś! Przyjdź, dobry Duchu, ratuj ten biedny naród. Spójrz, ile spustoszenia, ruin leży wokół! Śląsk jest w żałobie i płacze nad swoim gorzkim losem”<sup>1</sup>.

Wraz z końcem wojny nie kończą się plagi nawiedzające miasteczko. Po latach katastrof nikt tu już nie wierzy w przypadek. Kwitnące niegdyś górnictwo nie może się odrodzić, ludzie przymierają głodem i próbują szczęścia w uprawie i hodowli. Skazani są jednak na klęskę. Ziemia tu jałowa, a klimat surowy. Kronikarze notują, że w sierpniu 1693 roku na całą okolicę spada

<sup>1</sup> Wspomnienia pastora znam z drugiej ręki, przywołuje je Dora Puschmann w maszynopisie „Kronik über Kupferberg”; przekład Pawła Nowaka i Stanisława Tadraka.



ogromna ilość śniegu, a liczne kałuże pokrywają się warstwą lodu. Wkrótce potem zaś w miasteczku i okolicznych wsiach pojawia się szarańcza „w strasznych ilościach”. W kościołach rozpoczynają się więc modły o „odwrócenie tej klęski i palca Bożego”. W kolejnych latach miasteczko nawiedzają niespotykane wręcz zimy – w 1708 roku w okolicy zamarza 105 osób, a kolejnych 185 starców i dzieci umiera z powodu dyzenterii i ospy.

Po każdej z tych klęsk i katastrof mieszkańcy zwykli się jednak podnosić. „Wes die Zeit erlaubte...” (Gdy czas pozwoli) – mówili zawsze, gdy ktoś snuł odważne i fantastyczne plany wybiegające daleko w przyszłość. Zbyt wiele wiedzieli o przeszłości. Idąc po raz kolejny drogą do Johannesdorfu, odwracali wzrok od kamiennych krzyży, lecz pamiętali o „Memento” i o pomrukach bestii czającej się za górami.

Wiedział też o tym wszystkim Johann Martin Stulpe, który w listopadzie 1724 roku pojawił się w Kupferbergu z mocnym postanowieniem wiania odrobiny nadziei w udręczone klęskami dusze mieszkańców miasteczka. Urodził się w 1686 roku w Wartenbergu, w ubogiej rodzinie szewca, która była jednak na tyle bogobojna, że do stanu kapłańskiego przysposobiła aż dwóch swoich synów (starszego Johanna i młodszego Michaela). Już od najmłodszych lat Johann wyróżniał się pilnością w nauce – najpierw w szkole podstawowej w rodzinnej miejscowości, potem w gimnazjum w Liegnitz, wreszcie na uniwersytecie w Breslau, gdzie w 1710 roku uzyskał tytuł magistra nauk wyzwolonych oraz bakalaureat z teologii i licencjat. Trzy lata później został wyświęcony na kapłana i rozpoczął posługę w okolicznych parafiach. Po latach tułaczki i w uznaniu zasług został w końcu mianowany proboszczem pogrążonej w marazmie i beznadziei parafii w Kupferbergu. W 1725 roku, mimo braku środków, wyruszył w długą i niebezpieczną podróż do Rzymu, by prosić papieża Benedykta XIII o zezwolenie na założenie bractwa Najświętszego Serca Jezusa w Kupferbergu. Zgodę otrzymał.

Tak rozpoczyna się prawie trzydziestoletnia obecność w miasteczku proboszcza pamiętanego tam przez dwa następne stulecia. Nie zaczyna się jednak dobrze. W 1727 roku, wykładająca własne oszczędności, proboszcz przeprowadza całkowity remont kościoła, podupadłego na skutek wojen i zaniedbań ostatnich dziesięcioleci. Świątynia nie raduje jednak oczu wiernych zbyt długo. W mroźną styczniową noc roku 1728 wielki pożar po raz kolejny zamienia w ruinę tak ją, jak i sporą część miasteczka. Mieszkańcy znów muszą się podnosić z upadku. W pięć lat odbudowują kościół, stawiają też parafialną szkołę.

Dzięki prowadzonym przez księdza Stulpego skrupulatnym zapiskom wiadomo, że przez dwie następne dekady wygłasza 2551 kazań, odprawia 2392 msze solenne i aż 10 077 mszy recytowanych. Udziela 744 chrztów (z tego 374 chłopcom i 370 dziewczynkom). Na cmentarz usytuowany na tyłach trójkątnego rynku odprowadza w ich ostatniej drodze 768 zasłużonych obywateli. Błogosławi też 265 parom, które w gościnnych progach tutejszego kościoła decydują się przyjąć sakrament małżeństwa. Jednak tym, co najbardziej raduje Johanna Martina Stulpego, są coroczne odpusty i święto patronalne, organizowane zawsze w trzecią niedzielę po Wielkanocy. Miasteczko zaludnia się wtedy setkami pielgrzymów z całej okolicy, a album członkowski założonego przez niego bractwa pęcznieje od nowych wpisów. Ksiądz proboszcz nie wie, że zwyczaj spotykania się wiernych w Kupferbergu w każdą trzecią niedzielę po Wielkanocy okaże się w dalekiej przyszłości jednym z nielicznych dowodów tego, że miasteczko kiedykolwiek w ogóle istniało.

Bestia budzi się ponownie w 1740 roku w umyśle Fryderyka II Wielkiego Hohenzollerna, który postanawia odebrać austriackim Habsburgom Śląsk, w tym także zielony Kupferberg. Kolejne wojny o te tereny trwają ponad dwadzieścia lat. Jesienią 1744 roku cesarskie wojska nakładają na mieszkańców

miasteczka kontrybucję, dla której alternatywą jest jedynie pa-  
cyfikacja. Cena to dziesięć tysięcy guldenów w gotówce, trzydzie-  
ści par butów, dwadzieścia koni pociągowych, sześćset porcji  
owsa, sześćset porcji siana oraz osiemset chlebów, które nale-  
ży dostarczyć Austriakom w ciągu dwudziestu czterech godzin.  
Mieszkańców jest zaledwie tysiąc i każdy z nich dobrze wie, że  
razem nie zdołają wywiązać się z tych zobowiązań. Spoglądają  
więc ze smutkiem na pobliskie lasy, przeczuwając, że to wła-  
śnie stamtąd przyjdzie im obserwować, jak po raz kolejny ich  
miasteczko znika. Z niespodziewaną pomocą przychodzi im  
jednak ich proboszcz Johann Martin Stulpe. Łamiąc wszystkie  
zakazy, wyrusza do Schömbergu, gdzie stacjonuje dowodzący  
siłami austriackimi pułkownik Franquini. Uzyskuje zwolnienie  
z części kontrybucji oraz zgodę na dostarczenie sporej jej części  
w dłuższym niż jedna doba terminie. Kupferberg jest uratowa-  
ny. Bestia odchodzi jak niepyszna. Wróci za kilka lat w czasie  
ostatniej rozgrywki o Śląsk, z której zwycięsko wyjdą Prusacy.  
Kupferbergu nie będzie już miał wtedy kto chronić. 26 stycznia  
1753 roku umiłowany przez mieszkańców proboszcz Stulpe od-  
chodzi nagle. Zgodnie ze swoim życzeniem zostaje pochowany  
pod stopami wzniesionego przez siebie ołtarza.

Tymczasem w miasteczku co rusz pojawiają się nowi wła-  
ściciele i inwestorzy, którzy skuszeni tym, co leży na po-  
wierzchni, próbują drażyć górę w poszukiwaniu szczęścia. Są  
wśród nich także zwykli hochsztaplerzy i oszuści, jak choć-  
by ten nazwiskiem Herzer, który chcąc udowodnić nowemu  
królowi, Fryderykowi Wielkiemu, że w tutejszych kopalniach  
są obiecujące złoża kobaltu, przywozi ten cenny surowiec aż  
z Saksonii i na nowo „wydobywa” z miejscowych sztolni. Fry-  
deryk płaci więc słono za poszukiwania, których efektem ma  
być zyskowne, regularne wydobywanie. W końcu dowiaduje się  
jednak, że cała sprawa jest jedną wielką mistyfikacją. Być  
może dlatego w 1766 roku osobiście pojawia się na miejscu.

Uprowadzony o zdemaskowaniu Herzer ucieka, a wraz z jego ujęciem i przykładowym ukaraniem kolejna śmierć górnictwa na zboczach góry staje się faktem. Wszystkie następne próby wydobywania kryjących się w ziemi bogactw kończą się tu mniejszym lub większym rozczarowaniem, a tych w Kupferbergu było już dosyć.

Przez chwilę szansą dla miasta jest tkactwo, zwłaszcza że nowy typ kołowrotka stosowany w przędzalniach Starego Świata daje nadzwyczajne rezultaty. Dość szybko jednak to, co wydawało się wspaniałym udogodnieniem, okazuje się przekleństwem, produkcja płócien lnianych staje się łatwiejsza, a rynków zbytu nie przybywa. W 1725 roku blisko połowa tkackich rodzin prosperujących do tej pory w miasteczku traci środki do życia na skutek wycofania przydziału prac przędzalniczych. Kupferberg zaczyna się wyludniać, w 1785 roku mieszka tu zaledwie 796 osób, z których większość klepie biedę. A wkrótce będzie jeszcze gorzej, w pobliskim Märzdorfie zostaną otwarte przemysłowe przędzalnie i pozostała garstka tkaczy z Kupferbergu straci już zupełnie środki do życia.

Wkrótce o to przekleśte miejsce na szczycie góry znów upomni się bestia, tym razem będzie jednak łaskawsza. W sierpniu 1813 roku w miasteczku pojawiają się zagoni pruskich partyzantów pod dowództwem Boltensterna. Są wygłodniali, ale trzymają się na uboczu. Polują na małe francuskie oddziały, które w pośpiechu zacierają na północ, by 26 sierpnia stawić się na polu jednej z najbardziej krwawych napoleońskich bitew. Nad Kaczawą sprzymierzeni z Rosją Prusacy, zostawiając cztery tysiące swoich i piętnaście tysięcy francuskich trupów, odnoszą zwycięstwo nad dowodzonymi przez marszałka Macdonalda wojskami Napoleona. O tym zwycięstwie mieszkańcy Kupferbergu dowiedzą się później, w czasie bitwy nasłuchują tylko groźnych pomruków i dudnienia dochodzącego zza gór. Cieszą się, że tym razem miasteczko ocalało.

Na kolejne nieszczęścia nie trzeba jednak długo czekać. Jesiennego wieczoru 12 października 1824 roku żona białoskórnik Manschego, mieszkającego w domu pod numerem osiemdziesiątym czwartym, tak mocno przypieka nad ogniem poćień słoniny, że ten zapala się. Ogień rozprzestrzenia się najpierw po domu, a gdy udaje mu się wypełznąć na zewnątrz, szybko znajduje sprzymierzeńca w wyjątkowo silnym o tej porze roku wietrze. W kilkugodzinnym, szalejącym w całym mieście pożarze płonie sześćdziesiąt siedem domów, oba kościoły i przylegające do nich szkoły, a także szpital i ratusz wraz z niemal całym archiwum. Płonie też siedziba Królewskiego Urzędu Górniczego Księstwa Schweidnitz i Jauer, płoną stodoły z płonami i zapasami zgromadzonymi na zimę. Przebywający w miasteczku pastor z pobliskiej miejscowości Alt Kamnitz ze zdumieniem obserwuje rozmiar tragedii: „Sposób budowy i stan budynków, które były całe z drewna, ułatwiły rozprzestrzenianie się płomieni. Z dużą prędkością obejmowały one obie części miasteczka. Ostry, południowy wiatr niósł szalejący żywioł w kierunku katolickiego kościoła oraz stojących obok szkół – katolickiej i ewangelickiej, jak również w kierunku Johannesdorfu, gdzie płomienie zaczęły już obejmować najbliższą Kupferbergowi część wsi. Gdy płomienie przesunęły się już do uliczki Szymierzy, niszcząc wszystko po drodze, kierunek wiatru zmienił się z południowego na wschodni i przyniósł tym samym zniszczenie i zagładę dolnej części miasta. Coraz szybciej płomienie ogarniały wszystko wokół, tak gwałtownie, jakby kpiły z połączonych wysiłków setek ludzi, którzy spieszyli z bliska i z daleka, aby powstrzymać to szaleństwo. Przez długi czas udawało się chronić znajdujący się w środku miasta kościół ewangelicki, którego główna część opierała się jeszcze naporowi morza płomieni, ale i ona musiała ulec ich niszczycielskiemu działaniu”<sup>2</sup>.

<sup>2</sup> Słowa pastora przywołuje Dora Pushmann.

W ciągu jednej nocy cały swój dobytek traci 146 rodzin – 503 osoby. Zostają bez dachu nad głową i pomysłu, gdzie spędzą następną noc. Spośród dymiących jeszcze zgliszczy dolnej części miasteczka i poczerniałych od ognia traw na jego obrzeżach wystają jedynie dwa kamienne krzyże. „Memento”. „Pamiętaj”. Trudno powiedzieć jednak, czy ktokolwiek w tych tragicznych dniach myśli o klątwie.

Dwa dni po fatalnym wieczorze w miasteczku pojawia się hrabina Fryderyka von Reden z Buchwaldu. W pamiętnikach pisze: „Zbliżam się do tego smutnego obrazu, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam, nie mogę pojąć, co widzę, jestem jak skamieniała. W pałacu, który doskonale zachował się wśród samych ruin wokół, przyjęli mnie Anton i Graf Gustav Matuschka. Wprowadzili mnie w sam środek małej grupy ludzi – komitetu składającego się z Antona, dwóch duchownych, poborcy dziesięciny górniczej, burmistrza oraz urzędnika, i prosili, abym wzięła udział we wsparciu odbudowy miasteczka. Ustalono, jak rozdzielić środki pomocy oraz że pieniądze na odbudowę muszą zostać zdeponowane”<sup>3</sup>.

Hrabina jest poruszona widokiem miasta, które po raz kolejny zniknęło. Odwiedza mieszkańców, pociesza zdrowych, z troską pochyla się nad rannymi. Potem jedzie na targ do Bad Warmbrunn i kupuje to, co w zimne październikowe dni wydaje się najpotrzebniejsze tym, którzy stracili wszystko – sześćdziesiąt jeden par butów z cholewami i dwanaście par małych butów. Wszystkie, które tego dnia szewcy z Bad Warmbrunn mogą jej sprzedać. W rodzinnej posiadłości hrabina zapędza do roboty całą swoją służbę, która na drutach robi z ciepłej wełny ubrania dla pogorzalców.

Miasteczko po raz kolejny podnosi się z upadku. Dwa lata po pożarze, 12 listopada 1826 roku, pastor Christian Schreck

<sup>3</sup> Relację hrabiny znam z tego samego źródła.

może z dumą konsekrować nową świątynię. W czasie uroczystości wygłasza piękną mowę, a następnie każe ją wydrukować i sprzedawać wśród mieszkańców i gości. Uzyskane w ten sposób środki przekazuje parafii katolickiej, która swoją świątynię odbudowuje trzy lata dłużej. Jej projektantem jest nie kto inny, tylko sam Karl Friedrich Schinkel, autor berlińskiego Altes Museum. Wszystkie nowe budynki wznosi się w myśl wszelkich prawideł i przepisów przeciwpożarowych. Nikt tu nie chce znów patrzeć na płonące kościoły.

W 1840 roku w miasteczku mieszka 667 osób i tylko dziewięć z nich mówi o sobie, że są górnikami. Mimo to co chwila pojawiają się tu przedsiębiorcy, którzy chcą we wnętrzu góry szukać swojego szczęścia. Nie znajdują go tam kolejno przybyli z Górnego Śląska: pan Tiele-Winkler, pan Rosentiel, panowie Karsten i Grundman. Poszukiwanie szczęścia przez tych ostatnich kończy się wielką eksplozją wieży prochowej oraz maszynowni obsługującej jeden z szybów. To jednak nie zniechęca braci Schönfelderów – Richarda, Hermanna i Roberta – którzy w 1880 roku postanawiają rozpocząć wydobycie. Po kilku latach bez większego rezultatu, za to z dużą stratą, sprzedają kopalnię Kupferbergu panu Arendowi, Żydowi z Berlina. Po raz kolejny szyby zostają poświęcone, a ich pracownicy maszerują wczesnym rankiem z pochodniami, licząc, że uroczysta inauguracja rozruchu kopalni przyniesie im szczęście i bogactwo. Wydobycie trwa kilka lat, powstają nawet nowe szyby, jednak złoża znów nie przynoszą spodziewanych zysków.

Na udoskonalenie wydobycia i wprowadzenie nowych technologii nie ma już jednak czasu. Bestia zaczyna się wiercić i przypominać o swoim istnieniu. 28 czerwca 1914 roku Gavrilo Princip strzela do Franciszka Ferdynanda i jego małżonki, a świat, jaki mieszkańcy Kupferbergu znali do tej pory, rozpada się na ich oczach.

Wielka Wojna nie wkroczy jednak do Kupferbergu, wybierze inną drogę. Żaden z frontów nawet nie zahaczy miasteczka. Zabiorą natomiast ze sobą kilkunastu synów i ojców. Gdy armaty ucichną, na trójkątnym rynku stanie pomnik, który będzie przypominał o przelanej przez nich krwi.

Mieszkańcy miasteczka są wytrwali. Pięć lat po zakończeniu wojny pod budynkiem kopalni znów ustawiają się w górniczym pochodzie, znów płoną lampy górnicze, znów łopoczą sztandary. Na jednym z szybów promienieje wielki obraz świętej Barbary namalowany przez brata górniczego asesora – pana Fitznera. Pastor Helmut Eberlein i ksiądz Johannes Kaufman wspólnie tłumaczą wiernym, że tylko gorliwe modlitwy sprowadzą na nich łaskę i bezpieczeństwo w czasie pracy.

Teraz wydobyciem zajmą się inżynierowie ze spółki Giesche Erben. Na Górnym Śląsku koncern ten jest właścicielem sporej części kopalń i hut oraz jeszcze większej części Kattowitz. Mieszkańcy Kupferbergu z nadzieją nasłuchują wieści z tamtego regionu, dowiadują się między innymi o pięknych i wygodnych miastach-ogrodach, które spółka buduje swoim pracownikom. Marzenia ostatnich sześćdziesięciu górników z Kupferbergu są jednak o wiele skromniejsze. Nie chcą luksusowych osiedli ani kolejki dowożącej ich bezpłatnie pod bramę kopalni. Chcieliby tylko, aby uruchomione przez Giesche Erben szyby dały dosyć surowca, by nikt nie musiał się tu martwić o jutro.

Modlitwy, do których namawiają pastor Eberlein i ksiądz Kaufman, na pewno nie są więc mało gorliwe, jednak po prostu nieskuteczne. Nie wystarcza też doświadczenie inżynierów z Giesche Erben. Z łatwością wznowili oni wydobywanie w Kupferbergu i z jeszcze większą łatwością decydują o jego ostatecznym zakończeniu. W bilansach firmy tych kilka szybów i garstka gwarków nie stanowią zbyt ważnej pozycji. Najpierw staje szyb Toni, wkrótce potem, w 1927 roku, zamknięty zostaje ostatni szyb Adler. Gwarkowie będą mogli już tylko



z nostalgią spoglądać na jego szkielet widoczny z niemal każdego domu w mieście.

Górnicza przeszłość miasteczka nie daje jednak o sobie zapomnieć. Góra, na której szczycie stoi Kupferberg, jest podziurawiona jak rzeszoto. Przez całe stulecia drażono w jej wnętrzu tunele, które teraz – niezabezpieczone – zaczynają się zapadać i zagrażać temu, co znajduje się powyżej. Szalunek w starych sztolniach zamienia się w próchno i już nikt przy zdrowych zmysłach nie wejdzie do środka, by ocenić stan zniszczeń i przewidzieć kolejne zagrożenia. O zabezpieczeniu starych szybów nie może być więc mowy.

Coraz częściej rurociąg doprowadzający do miasteczka wodę aż spod góry Wołek zrywa się. Władze miasta zachodzą w głowę, co jest tego przyczyną; wkrótce okazuje się, że to niewielkie tąpnięcia i osunięcia ziemi powodują rozszczelnianie instalacji.

Pewnego dnia konie ciągnące pług po polu pana Franzkiego zapadają się w ziemi po piersi i wydają z siebie tak przerażający kwik, że ci, którzy akurat są w pobliżu, rzucają swoją robotę i wbiegają w pole z pobladłymi twarzami. Tylko niektórzy mają odwagę ruszyć z pomocą i ratować zwierzęta, inni patrzą z daleka na wystające z ziemi końskie łby i niezwykle lejowate zapadlisko wokół nich.

Po raz pierwszy jednak ziemia zapada się pod budynkiem kuźni Preusa i kupca Reimanna. Powstaje krater tak duży, że zmieściłaby się w nim furmanka. Także w szeregu domów – od piekarza Flabego do fryzjera Friebego – utworzyła się rysa na murach spowodowana zapadnięciem się sztolni. Ta rysa to dopiero początek.